

## Steffen Möller: Vita Classica – wyznania słuchającego inaczej

### xxv Empik Megastore

Sklep pana Leszka w Teatrze Narodowym był zbyt mały, aby codziennie do niego zaglądać. Po dziewięciu godzinach bycia native speakerem wolałem raczej udać się tam, gdzie wybór płyt był rzeczywiście bogaty. A tak było w gigantycznym „Empiku Megastore”. Tutejsza oferta muzyki klasycznej była najszerza w całej Warszawie. Wielopiętrowy budynek Empiku należał do pochodzącej z czasów komunistycznych „Ściany Wschodniej”, alei handlowej ciągnącej się wzdłuż ulicy Marszałkowskiej, nieopodal Filharmonii Narodowej. Naprzeciwko znajdował się, otoczony kilkoma drapaczami chmur, Pałac Kultury i Nauki. Gdy po południu słońce świeciło dokładnie nad tym dwustupięćdziesięciometrowym kolosem, trzeba było mrużyć oczy albo schronić się do Empiku, przynajmniej do czasu, aż zniknęło za horyzontem.

Panowała tam międzynarodowa atmosfera. Za ogromną szklaną fasadą widniały niemieckie, angielskie, ormiańskie czy też cypryjskie gazety. Wielu cudzoziemców zjawiało się tu codziennie, bo tak czuli się bliżej ojczyzny. W końcu w nazwie „Empik” zawarte jest też słowo „międzynarodowy”. Trzy litery „MPK” znaczyły w czasach komunistycznych klub „Międzynarodowej Prasy i Książki”, i można było wówczas przejrzeć za darmo w jego czytelni prasę z całego świata. Z biegiem lat ze skrótu MPK powstał potoczny neologizm „Empik”.

Przy wejściu stał, jak to w Polsce, ochroniarz i czuwał, żeby jego rodacy nie kradli gazet. Różnorodność gazet i czasopism była oszałamiająca, można tam było znaleźć najbardziej niszowe pisma o literaturze czy periodyki dla miłośników pszczół.

Urządzonego z podobnym rozmachem igrzyska dla wszelkich form drukowanego słowa nie widziałem nawet w jakże kosmopolitycznym Berlinie.

Nie do przecenienia także jest fakt, że sklep zamykano dopiero o 22. Gdy o 21 kończyłem konwersacje w Instytucie Goethego, mogłem tu jeszcze wpaść na krótko, by szybko sprawdzić w *FAZ*-u czy *Bildzie* piłkarskie wyniki Bundesligi. Na pierwszym piętrze mieścił się dział książkowy, obejmujący nawet niewielki wybór niemieckich bestsellerów od Konałika po Sloterdijka, a na drugim piętrze znajdował się dział muzyczny.

Był on ogromny, ale muzyka klasyczna zlokalizowana była w malutkim oddzielnym pomieszczeniu, zaledwie kilka kroków od schodów ruchomych. Pomieszczenie raczej przypominało wielką szklaną gablotę, pozastawianą półkami z płytami i oklejona plakatami wybitnych dyrygentów. Bliskość schodów powodowała, że często ktoś zaglądał tam przez pomyłkę i pytał ekspedientkę o Michaela Jacksona czy Tinę Turner. Z reguły orientował się dość szybko, że wkroczył na hermetyczny teren, ze zdziwieniem spoglądając na zdjęcia Leonarda Bernsteina czy Claudio Arraua – i przez chwilę jego wzrok spoczywał także na mnie, gdy stałem w rogu ze słuchawkami na uszach, puszczać sobie jakąś płytę ze stosu dziesięciu płyt, piętrzących się przede mną. Wtedy szybko spuszczałem wzrok albo odwracałem się do ściany, udając całkowicie pochłoniętego muzyką.

Sprzedawczynią w tym dziale była przez kilka lat kapryśna młoda dama w obowiązkowym czerwonym mundurku Empiku, która publikowała swoje wiersze i dlatego wydawała się zbyt dobra do tej pracy. Była ładna i kompetentna, ale trzeba

się było wobec niej niezwykle grzecznie zachowywać, by tak kompetencja się ujawniła. Prawdopodobnie marzyła po cichu o własnym festiwalu literatury gdzieś w Galicji czy na Mazurach.

\*

Niestety humorzasta poetka często była chora. Stawiało mnie to za każdym razem w kłopotliwej sytuacji, bo, by posłuchać płyt, musiałem wyjść na zewnątrz do działu z muzyką rozrywkową. Była tam okrągła lada, jaskrawo oświetlona silnymi reflektorami. Stanowiła serce całego działu, i siedział za nią długowłosa chłopczyk, niespełna dwudziestoletni, którego zadaniem było zdejmowanie celofanowych powłoczek z płyt CD i puszczenie muzyki niezdecydowanym klientom. Żeby uprzyjemnić sobie tę żmudną pracę, prowadził z nimi luźne pogawędki o muzyce: - Metallica podobno gra zawsze na początku swoich koncertów kawałki Ennia Morricone. Dasz wiarę? Przy czym marszczył z obrzydzeniem twarz, jakby wpadł na trop najbardziej gorszącego skandalu.

Kiedy podałem mu do rozpakowania płytę z muzyką klasyczną, zamilkł, zlustrował mnie krótkim spojrzeniem, zdjął celofanową folię i wyjął płytę z opakowania, trzymając ją końcami palców, po czym zapytał, czy chcę zabrać książeczkę. Następnie przydzielił mi jedno z osiemnastu stanowisk: - Trójka.

Nigdy nie komentował wybranych przeze mnie płyt, choćby zdawkowym: „A, to wczesny Brahms” czy „Jeśli koncerty fortepianowe Mozarta, to tylko grane przez Alfreda Brendla”.

Kiedy po przesłuchaniu zwracałem mu płytę, pytał: - Bierze ją pan?

Do wszystkich innych klientów mówił konsekwentnie na ty, tylko do mnie na pan. Gdy odpowiadałem „tak”, wkładał płytę do przezroczystego antykradzieżowego pojemnika i oddawał mi bez słowa; kiedy mówiłem „nie” odkładał ją bez słowa na bok, gdzie piętrzyły się niezakupione kompakty. Następnie znów zwracał się wesóło do pierwszego lepszego klienta, rzucając nerwowo nożyk do folii na stół. – *Freedom to Love* mają przyjechać jesienią do Katowic, jedziesz?

Ani trochę nie zyskałem w jego oczach szacunku, gdy pewnego dnia przyszedłem z płytą *Pearl Jam*. Nadal witał mnie z obojętną twarzą. Nie dał się zwieść takimi sztuczkami. Dla niego już na zawsze byłem dziadkiem z działu klasycznego.

\*

Rzecz jasna, że ucieszyłem się bardzo, gdy kapryśna poetka wróciła do pracy. Mogłem znów stać w dziale klasycznym ze słuchawkami na uszach, żeby testować nieznaną mi nowość. Stałem przy ścianie, nieobecny wzrokiem skierowanym w podłogę, zastygły w bezruchu jak jaszczurka na słońcu, i słuchawki działały jak czapka niewidka. Wchodzący do działu klienci często w ogóle mnie nie zauważali. Otwierało to wspaniałe pole do obserwacji. Stopniowo nauczyłem się rozpoznawać grupę melomanów, do jakiej należał dany klient.

Pierwsza grupa to nowicjusze, którzy podchodzili do poetki z kartką w ręce. Dzisiaj mieli kupić pierwszą w swoim życiu płytę z muzyką poważną. Najczęściej pytali najpierw na parterze, później jeszcze raz w dziale książkowym i kolejny raz jeszcze w

punkcie informacyjnym, gdzie można kupić płytę Mozarta, i w końcu odsyłano ich tutaj. Z przerażeniem na twarzy odczytywali ze swojej karteczki: - *Msza koronacyjna* Mozarta. Czy ma pani coś takiego? Blond fryzjerki w skórzanych kozakach zamieniały się w dziale z klasyką w niepewnie uśmiechające się dziewczynki. Być może oneśmiały je wytworne plakaty z dyrygentami i pianistami, które wisiały na ścianach. Widok tych ludzi przypominał mi, kiedy pierwszy raz wchodziłem do dyskoteki.

Kolejna grupa to uśmiechnięci marzyciele, którzy pojawiali się przede wszystkim koło Bożego Narodzenia, gdy z co drugiego spotu reklamowego pozdrawiał Mikołaj, a na dachu „Mariotta” kołysały się świetlne dzwony. Tym ludziom klasyka kojarzyła się z odświętnością, prezentami, chórami anielskimi i jasełkami. Pamiętali te melodie z dzieciństwa i mogli nawet zanucić ponurej sprzedawczyni to, czego szukali. Słuchała ich wtedy z wyraźną irytacją, ale lubiłem tych klientów, ponieważ był w nich zachwyt i nieobojętność na piękno.

Trzecia grupa była dokładnie ich zaprzeczeniem. Pojawiała się tylko w dni powszednie, we wtorek po południu, gdy na zewnątrz Marszałkowska huczała od klaksonów aut stojących w korku. Składała się ona ze studentów szkół muzycznych ze streetowymi plecakami, którzy dokładnie wiedzieli, które to opus, nawet nie raczyli spojrzeć na sprzedawczynię, lecz od razu podchodzili do regałów i wyszukiwali sobie jakiś koncert solo na swoje skrzypce. Gdy go znajdowali, bez słowa szli prosto do kasy, gdy go nie mogli znaleźć, prosili poetkę beznamiętnym głosem, by go zamówiła. Kiedy ta z kolei beznamiętnie wprowadzała to do komputera, patrzyli jej przez ramię, czy wybrała najtańsze nagranie.

\*

Do czwartej grupy należeli tacy jak ja, czyli prawdziwi fani muzyki klasycznej. Były to osoby wyłącznie rodzaju męskiego, najczęściej bardzo niepozornie ubrane, z myszkowatymi krawatami i okularami w starych oprawkach, raczej z maturą niż bez, raczej powyżej niż poniżej pięćdziesiątki, żadni tam karierowicze, ale zapewne dobrzy szachiści.

Skromnie, ale uparcie drążyli kopalnię muzyki poważnej, nie by coś konkretnego znaleźć (gdyż wszystkie ważne rzeczy mieli już od dawna w domu), lecz w poszukiwaniu nowych interpretacji, reedycji archiwalnych nagrań czy odważnych niszowych wytwórni z Nowej Zelandii. Niektórzy mamrotali przy tym półgłosem, jakby naśladowali Glenna Goulda podczas gry na fortepianie.

Gdy tylko poetka skarciła ich wzrokiem, od razu przestawali mamrotać i pytali nieśmiało, czy mogą złożyć zamówienie. Podczas gdy poetka wprowadzała dane do komputera, ich oko błędziło już po ofertach specjalnych, znajdujących się obok stanowiska z kasą. Kiedy poetka po pięciu minutach z westchnieniem oznajmiała: - Pańska płyta przyjdzie za dwa tygodnie z Kanady – prosili ją zakłopotani, żeby anulować zamówienie, bo woleliby *box* Światosława Richtera z oferty specjalnej.

\*

Piątą grupę stanowili fani muzyki współczesnej. Zachowywali się jak królowie działu, chodzili z wysoko podniesioną głową, a rozbiegane ręce chłodzili w czarnym kaszmirowym szalu. Lubili machać dandysowsko parasolem; już ze schodów wołali do poetki głośne „cześć!”, pogardliwie spoglądali na przygarbione plecy niepozornych fanów klasyki drążących pokłady w którymś kącie swej kopalni lub słuchających pięciu różnych nagrań koncertów fortepianowych Mozarta. Oni takie ramoty mieli już dawno za sobą.

Fan muzyki współczesnej nie rozumował w kategoriach kompozytorów, tylko festiwali i wytwórni. Czymże jest skomponowanie symfonii w porównaniu z urządzeniem festiwalu? W ich opinii czasy romantycznych rycerzy minęły już dawno; obecnie chodziło o to, by zawiązać sieć postępowo myślących ludzi o podobnych zamiłowaniach. Najlepsza ku temu okazja nadarzała się na festiwalach, jak choćby na nobliwej „Warszawskiej Jesieni”, odbywającej się już od 1956 roku. Wtedy to miłośnik muzyki współczesnej mógł się nawet przemóc i wyjątkowo przekroczyć próg mieszczańskiej Filharmonii Narodowej – bo zwykle abonamentowe koncerty Brahmsa czy Mahlera interesowały go tyle co zeszłoroczny śnieg.

Jego bożyszczem był Manfred Eicher, założyciel wytwórni ECM, który od 1969 roku wydawał nonkonformistyczne nagrania muzyki współczesnej, najczęściej ozdobione ascetycznymi czarno-białymi zdjęciami. Tym enigmatycznym okładkom, np. przedstawiającym japońską gałąź wiśni na tle katedry w Hiroshimie, fan muzyki współczesnej mógł w nagłym przypiływie melancholii przyglądać się minutami, a następnie zapytać poetkę dźwięcznym, donośnym głosem: - Gdzie jest do cholery ta genialna nowość z ECM z altowiolistką Kim Kashkashian?

I wtedy zdarzył się cud: poetka się zaśmiała: - Tu z przodu, chodź, pokażę ci! Śmiała się, pomagała, mówiła mu na ty – ze wściekłości o mało nie cisnąłem słuchawkami o ziemię. Tylko z takimi bubkami wdawała się w miłe pogawędki, tylko ich ciągnęła za rękaw i wskazywała ciekawe nowości, bo liczyła na to, że mogli jej się przydać przy założeniu własnego festiwalu poezji w Bieszczadach. Byłem zazdrosny. Snoby muzyki współczesnej były grupą, do której należeć nie miałem szans.